

Włodzimierz Bolecki: Jurek

Nie pamiętam, kiedy poznałem Jurka.

Gdy rozpoczynałem moją działalność polonistyczną, wydawało mi się, że Jerzy Jarzębski był w niej „od zawsze”. W najwcześniejszych wspomnieniach widzę Jurka jako krytyka literackiego, którego teksty towarzyszyły mi, gdy zaczynałem uprawiać krytykę na własny rachunek. Jego recenzje i artykuły o literaturze współczesnej były wówczas pierwszym i ostatnim zdaniem interpretacji literatury najnowszej, jej oceną i ostateczną kwalifikacją.

Nie mógłbym jednak powiedzieć, że Jurek promował jakiś własny typ literatury, że walczył o jego upowszechnienie, o promocję czy popularność. Nic podobnego – wzorem swojego Mistrza, Jana Błońskiego, był otwarty na wszystko, co w literaturze nowe, wartościowe, oryginalne, a przede wszystkim odkrywczе, przynoszące nową wiedzę o człowieku i o świecie. Jego pisanie o nowych tytułach i nazwiskach było jak snop światła, oświetlający książki warte czytania, nazwiska warte zapamiętania, a przede wszystkim – nowe idee literackie warte rozważenia.

Jurek – przynajmniej w moim środowisku – uważany był za młodsze wcielenie Jana Błońskiego, za jego krytycznoliterackiego „delfina”, który w przyszłości przejmie lutnię po Bekwarku. Jurek bardzo szybko stał się w życiu literackim instytucją, autorytetem nie tylko dla młodszych i rówieśników, ale także dla starszych krytyków podziwiających jego wnikliwość, finezję interpretacji, trafność i głębokość sądów, ale może przede wszystkim jego rozległą wiedzę o życiu literackim w Polsce. Jurek zdawał się czytać wszystko i brać udział we wszystkich najważniejszych spotkaniach, odczytach, konkursach czy dyskusjach.

Nie poznałem go jednak nigdy w jego działalności akademickiej (UJ i IBL to były wtedy dość odległe światy), a do poznania Jurka jako człowieka – najpierw jako kolegi, a potem przyjaciela – musiało upłynąć wiele lat.

Nasze drogi przecinały się w tamtym okresie dość rzadko i raczej przypadkowo, za to coraz głębiej – jako autorów – łączyła nas fascynacja twórczością pisarzy, którzy w końcowym okresie PRL stanowili największe wyzwanie dla akademickich badań literatury współczesnej. Bardzo szybko Jurek stał się niekwestionowanym przewodnikiem nowych badań po twórczości Witolda Gombrowicza, a wkrótce potem Brunona Schulza. A przecież konkurencję miał ogromną. W gombrowiczologii – od czasu publikacji jego *Gry w Gombrowicza* (1982) – szybko stał się chyba najbardziej rozpoznawalnym międzynarodowo znawcą twórczości autora *Ferdydurke* (poświęcił mu cztery książki). Nawet Konstanty A. Jeleński – krytyk, któremu Gombrowicz zawdzięczał swoją karierę w Europie – nie krył podziwu dla oryginalności interpretacji Jarzębskiego. A wkrótce potem przyszły studia i edycje Schulza i Lema, dwóch kolejnych pisarzy, których twórczość Jurek uczynił przedmiotem swoich odkrywczych badań.

Nie wystarczało mu jednak tylko pisanie artykułów o ulubionych autorach, poświęcał mnóstwo czasu na popularyzację ich twórczości, z którą docierał chyba do wszystkich środowisk czytelniczych – z jednej strony spotkania z uczniami i studentami, z drugiej seminaria, odczyty, wykłady i sesje naukowe.

Miał zdumiewający dar przyciągania innych do swoich pasji czytelniczych. Zawsze spokojny, niemal wyciszony, działał na słuchaczy finezją i kulturą swoich wywodów. A jego skala umiejętności perswazyjnych zdawała się nieograniczona. Był przy tym człowiekiem, którego się po prostu lubiło – niezwykle koleżeński, ciepły, życzliwy, zawsze chętny do pomocy, a przede wszystkim pełen pomysłów, podpowiedzi, inspiracji. Współpraca z nim była nie tylko przygodą, ale przede wszystkim była przyjemnością. Mimo skupiania się na sprawach poważnych, na problemach zasadniczych i trudnych, Jurek miał spontaniczne, by nie rzec żywiołowe, poczucie humoru. Uwielbiał humor sytuacyjny i językowy, potrafił nie tylko się śmiać, ale też zaśmiewać do łez, gdy coś go naprawdę rozbawiło.

Los sprawił, że naszą znajomość scementowały podróże, najpierw na różne konferencje, a następnie, gdy obaj – chyba w tym samym roku – zostaliśmy zaproszeni do uczestnictwa w jury Fundacji Kościelskich; odtąd podróżowaliśmy do Genewy bądź Lozanny na posiedzenia Fundacji. A dużą część z tych podróży odbywaliśmy razem, gdy Jurek decydował się na lot z Warszawy.

O zamiłowaniu Jurka do podróżowania krążyły legendy. Odwiedził chyba wszystkie kontynenty (nie zdziwiłbym się, gdyby dotarł też na Antarktydę), przemierzając je wszerek i wzdłuż, często przy okazji wyjazdów na konferencje czy z wykładami gościnnymi. Wielokrotnie mogłem się przekonać, że Jurek był chyba wszędzie, gdzie wykładano literaturę polską. Był z pewnością najbardziej rozpoznawalnym na świecie współczesnym polonistą.

Jurek tak bardzo kojarzył mi się z podróżowaniem, że gdy na samym początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku napisałem absurdalną, pseudorealistyczną opowieść o Gombrowiczu w Sztokholmie, obsadziłem Jurka w roli mojego przewodnika. Chyba się nie pogniewał za ten groteskowy żart, bo przy pierwszej okazji postawił mi piwo.

Zdarzyło się kilkakrotnie, że Jurek – po śmierci dr Wandy Błońskiej, żony Jana – opiekował się Profesorem podczas lotów do Szwajcarii. Podziwiałem jego dyskretną troskliwość i napiętą uwagę skupioną na naszym, coraz słabszego zdrowia, starszym koledze. Było coś przejmującego w umiejętności Jurka prowadzenia swobodnej rozmowy na poważne tematy, połączonej z subtelną kontrolą nad Jankiem, tracącym niekiedy orientację w przestrzeni. Dwie dekady później kilkakrotnie podróżowaliśmy z Jurkiem razem – był już sam bardzo ciężko doświadczony przez choroby, miał kłopoty z poruszaniem się, ale tryskał energią i zdumiewał nadzwyczajną umiejętnością wybierania właściwych kierunków. Lotniska, ulice, dworce, place nie stanowiły dla niego problemu – przemieszczał się po nich z taką precyzją, jakby miał ukryty w głowie prywatny GPS. Podziwiałem wtedy jego pogodę ducha, absolutną obojętność dla

trapiących go dolegliwości oraz niespożytą energię, z jaką nadawał tempo naszemu marszrutom.

Studia nad Gombrowiczem zaowocowały pierwszym popularnym, a w pewnym sensie fundamentalnym, zbiorowym wydaniem utworów Gombrowicza. Przygotowywał je z Janem Błońskim, choć, jak mówiono, ciężar prac nad poszczególnymi tomami spoczywał na Jurku. Gombrowiczologia zawdzięcza temu wydaniu znacznie więcej, niż się potocznie o nim sądzi, między innymi udostępnienie czytelnikowi polskiemu dziesiątków rozproszonych, dotychczas nieznanych artykułów czy wywiadów Gombrowicza – w tym także po raz pierwszy przetłumaczonych głównie z hiszpańskiego i francuskiego. Nieomal z marszu Jurek dał się namówić po tym wydaniu do wspólnej pracy redakcyjnej nad pierwszym wydaniem krytycznym dzieł Gombrowicza.

Naszym drugim *meeting point* była twórczość Brunona Schulza. Jurek od lat był niekwestionowanym marszałkiem schulzologii w Polsce i w świecie, a jego popularna monografia życia i twórczości Schulza oraz Drohobycza (opublikowana przez Wydawnictwo Dolnośląskie) jest do dziś małym arcydziełem. Jako krytyk literacki był multiinstrumentalistą – potrafił zbudować spójną interpretację z elementów na pozór heterogenicznych: z biografii, ze spraw społecznych i historycznych, z tematów utworu, z jego recepcji, kompozycji, stylu, poetyki czy idei filozoficznych. A do tego umiał dodać anegdoty czy osobiste dygresje. Do studiów nad książkami bezbłędnie wprowadzał sylwetki czytelników, przyjaciół i znajomych pisarza, dzięki czemu opowieść o sztuce literackiej stawiała się kroniką czasów i historią ludzi.

Naszego wspólnego Schulza wymyślił Stanisław Rosiek, proponując nam napisanie pierwszego (nie tylko w Polsce) *Słownika Brunona Schulza*. Gdy co pewien czas spotykaliśmy się we trzech w Warszawie, Jurek początkowo długo milczał, dopiero po wysłuchaniu naszych pomysłów, wyobrażeń czy planów (nawet bardzo konkretnych) cichym głosem dawał nam dyskretnie do zrozumienia, że nie zawsze są one wynikiem świadomości rzeczy. Nigdy niczego nie kwestionował, nie odrzucał, popychał nas natomiast ku tematom czy problemom, które warto by na nowo przemyśleć, a często – podjąć po raz pierwszy. Bezbłędnie i z największą delikatnością korygował nasze błędy i wypaczenia w hasłach prezentujących dzieło autora *Sklepów cynamonowych*. Co prawda słownikarstwo encyklopedyczne nie było jego *métier* – nigdy wcześniej podobnych haseł chyba nie przygotowywał – a przecież to, co sam napisał do *Słownika* było od razu znakomitą realizacją naszych ustaleń.

Mieliśmy jeszcze wiele wspólnych planów: poszerzony *Słownik schulzowski*, nowe studia o Gombrowiczu, nowe inicjatywy Fundacji Kościelskich, ale nie udało nam się wyjść poza rozmowy i plany na przyszłość. Choroby przyganiały Jurka coraz bardziej, zostawiając mu coraz mniej sił i czasu. Gaś w naszych oczach. Miał pełną świadomość powagi sytuacji – znosił ją heroicznie i z typową dla siebie autoironią. We wrześniu 2021 roku informował jury Fundacji

Kościelskich: „Niestety, muszę już zacząć myśleć o zastąpieniu mnie-starucha w jury kimś młodszym i sprawniejszym”. A dwa lata później dodał: „nie mogę liczyć na wyjście z choroby, tylko najwyżej na przedłużenie szarpania się z tym draństwem, które się we mnie załęgło. Na razie czuję się nie najgorzej, ale ile czasu to potrwa – nie mam pojęcia”. Kilka dni później w prywatnym liście do mnie napisał: „zacząłem brać chemię, ale szans na wyleczenie choroby raczej nie ma. Na razie czuję się nieźle, ale w perspektywie jest raczej niewesoło. No cóż, trzeba na coś umrzeć, choć bardzo bym chciał jeszcze być trochę z ludźmi”.

Kilka tygodni później odwiedziliśmy go ze Stanisławem Rośkiem w jego mieszkaniu na warszawskiej Pradze. Był jak zwykle pełen uroku, ciepła i ciekawości naszych wspólnych spraw. Pisał jakiś artykuł, kończył jakąś recenzję i snuł plany na najbliższą przyszłość. Wszystko jeszcze wydawało się możliwe. Zaproponował kolejne spotkanie, mieliśmy wkrótce ustalić jego termin. Ciągłe wraca do mnie zdanie z jego ostatniego mejla: „bardzo bym chciał jeszcze być trochę z ludźmi”. Bardzo byśmy chcieli, Jurku, byś był nadal z nami.